

ANTYGENY

Alicja Horn

ANTYGENY



Copyright © by Alicja Horn, 2026
Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo
Warszawa 2026
All rights reserved

ISBN 978-83-970952-7-4

ROZDZIAŁ 1

Mikołaj Ulewicz od dziecka był cherlawy. Z zazdrością patrzył na ludzi, którzy tyli od samego widoku czekolady. On mógł jeść ją bez umiaru i nic się nie zmieniało. Matka mówiła, że „taką ma urodę”, babka, że „to na pewno z nerwów”, a koleżanki z liceum sugerowały tasiemca. Raz nawet sprawdził. Nie miał. Miał za to kości cienkie jak patyki i mięśnie, których istnienia można się było jedynie domyślać.

Odkąd zaczął pracować w recepcji *Kameny*, szczupłość doskwierała mu jeszcze bardziej niż wcześniej. Jego zmiennik, Darek Bajak, lubił opowiadać o swoim powodzeniu. Twierdził, że podczas nocnych zmian regularnie trafiają się kobiety szukające czegoś więcej niż noclegu. Darek był oczywiście mitomanem i wszystko, co mówił, należało dzielić przez dziesięć. W każdym kłamstwie tkwiło jednak ziarno prawdy, a Mikołaj widział, jak kobiety, zwłaszcza te dojrzałe, lustrowały Bajaka wzrokiem. Tyle że Darek miał ku temu warunki: wysoki, pewny siebie blondyn z barami jak Minotaur.

Mikołaj uznał, że nadeszła pora, by coś wreszcie ze sobą zrobić. Próbował już różnych diet: białkowej, węglowodanowej, tłuszczowej. Żadna nie przyniosła jednak oczekiwanego rezultatu. Nie przytył ani grama, za to nabawił się zgagi, a wyniki badań wyraźnie się pogorszyły. W końcu zapisał się na siłownię. Zamówił też duży i absurdalnie drogi pojemnik odżywki proteinowej, który dotarł dzień wcześniej. Dziś w pracy zamierzał wypróbować ją po raz pierwszy.

Na razie jednak od pięciu minut zmagał się z opakowaniem. Jego frustracja rosła. Nie miał dość siły, żeby odkręcić wieczko.

– Halo, jest tam kto? – dobiegło go z recepcji.

Jakiś gość walił dłonią w dzwonek i darł się, jakby nie mógł poczekać nawet minuty.

Mikołaj odstawił odżywkę, wytarł spocone dłonie o służbową koszulę i wyszedł z kanciapy.

– Słucham pana?

Mężczyzna stojący przy ladzie był wyraźnie wzburzony.

– Kiedy wreszcie zrobicie coś z tą wodą? Przecież to jakiś skandal.

Od dwóch dni goście skarżyli się na niskie ciśnienie w łazienkach. Dziś rano woda zaczęła na dodatek cuchnąć.

– Czekamy na hydraulika – odpowiedział Ulewicz.

– Miał być wczoraj, ale pan wie, jak to jest z hydraulikami...

– Co mnie obchodzą wasze problemy? – Mężczyzna aż się zagotował. – Zapłaciłem za pokój i chcę się wykąpać.

– Oczywiście, ma pan rację – przytaknął Mikołaj. – Zrobimy wszystko, żeby jak najszybciej to naprawić.

– Jeśli do południa nic się nie zmieni, wynoszę się stąd i już nigdy tu nie wrócę.

Był to ich stały klient. Należało go udobruchać.

– Rozumiem. Zaraz zadzwonię do hydraulika i go pośpieszę.

Mężczyzna bez słowa odwrócił się i wszedł do windy.

Mikołaj sięgnął po telefon i wybrał numer hydraulika. Po kilku sekundach usłyszał *Under Pressure* w wykonaniu Queen i Davida Bowiego. Uniósł wzrok – hydraulik właśnie wchodził do recepcji.

– To ja do pana dzwonię – powiedział Ulewicz i rozłączył się. – Dobrze, że już pan jest. Goście nie przestają się skarżyć.

– Taka już ludzka natura, co zrobić. – Hydraulik wzruszył ramionami. – Gdybym miał się przejmować narzekaniem klientów, dawno bym zwariował. Muszę wejść na dach i sprawdzić zbiornik wyrównawczy. Ostatnio to on był problemem. Niech mi pan da klucze.

Mikołaj położył na blacie ciężki pęk. Hydraulik zgarnął go i ruszył w stronę windy.

Do recepcji wszedł kurier. Ulewicz podpisał odbiór przesyłki. Potem odebrał kilka telefonów, w tym dwa od rozgniewanych gości. Potwierdził jedną rezerwację i wpisał do systemu wymeldowanie z czwórki.

Kiedy wreszcie zrobiło się spokojnie, wrócił do zmagania z odżywką. Opakowanie ani drgnęło. Próbował suchymi dłońmi, mokrymi, przez ręcznik, przez koszulkę – bez skutku. Plastik ani myślał ustąpić.

Przerwały mu krzyki. Ktoś zbiegał po schodach.

– Dzwon po policję! Dzwon po policję! – darł się hydraulik, wpadając do kanciapy jak torpeda. – Słyszysz mnie?! Dzwon, do cholery!

Dopał Mikołaja i potrząsnął nim tak, że chłopakowi zadzwoniły zęby.

– Co się stało? – wydusił Mikołaj.

Mimo szoku zauważył, że jeśli Darek miał bary jak Minotaur, to ten tutaj mógłby robić za regał z Ikei. Świat nie był sprawiedliwy.

– W zbiorniku jest trup! Rozumiesz, człowieku? Na dachu macie trupa!

* * *

Jarosław Ostrogski pochylił się nad ciałem. Niedawno wyciągnięto je z wody, co było widać i czuć.

– Doktorze, ona się tam utopiła? – zapytał młody komisarz. – Jeśli tak, to kiedy?

Policjant niedawno awansował. Z tego, co Ostrogski wiedział, była to jego pierwsza poważna sprawa.

– Na tym etapie nie da się tego stwierdzić. A jeśli pana następne pytanie miało brzmieć: „Czy to było samobójstwo?”, to odpowiedź brzmi: raczej nie.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Ostrogski nie zdążył odpowiedzieć. W tej samej chwili na strychu pojawiła się prokurator Biały.

– O, Jarek. Miło, że dla odmiany byłeś dziś pierwszy – rzuciła, podchodząc bliżej.

– Komisarz Wojdak był pierwszy – sprostował Ostrogski.
– Znać się?

– Jeszcze nie mieliśmy okazji. Maksymilian Wojdak.

– Dagmara Biały.

Skinęli sobie głowami. Biały natychmiast skupiła się na zwłokach, natomiast Wojdak przez chwilę przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem, co nie umknęło uwadze Ostrońskiego.

Dagmara przykucnęła przy ciele. Skrzywiła się ledwie zauważalnie. Spory postęp jak na kogoś, kto zemdlał kiedyś przy swojej pierwszej sekcji.

– Kiedy nastąpił zgon i co ją zabiło? – zapytała.

– Następna... – Ostrogski przewrócił oczami. – Czy ja wyglądam na jasnowidza? Na tę chwilę mogę powie-

dzień tyle, że ciało spędziło w zbiorniku mniej więcej tydzień.

Wyjął dyktafon i zaczął nagrywać:

– Silne wzdęcie gnilne, głównie w obrębie brzucha i klatki piersiowej. Naskórek dłoni całkowicie oddzielony, rękawiczki naskórkowe zabezpieczone osobno. Widoczna marmurkowatość. W okolicy prawego dołu biodrowego przebarwienia zielonkawe, przechodzące w brunatne. Włosy luźne, częściowo oddzielone od skóry. – Uniósł powieki zmarłej. – Rogówki zmętniałe, mleczne. Obecne wylewy podspojówkowe. – Rozchylił usta gumową łopatką. Z gardła natychmiast wypłynęła woda, unosząc resztki rozpulchnionej śluzówki. – Brak piany w ustach i nosie – zanotował. Odsłonił szyję. – Po obu stronach szyi, w okolicy kątów żuchwy, widoczne nieregularne sinoczerwone przebarwienia. Przy tym stopniu rozkładu nie da się ocenić ich charakteru. Do weryfikacji w badaniu sekcyjnym.

– Czyli nie utonęła? – zapytała Biała.

Ostrogski nie odrywał wzroku od szyi.

– Może utonęła. A może była martwa, zanim znalazła się w zbiorniku.

– To co mam wpisać do protokołu?

– Wstępnie: „Czas zgonu od kilku do kilkunastu dni przed ujawnieniem. Dokładniejsze określenie na obecnym etapie niemożliwe. Przyczyna zgonu niewyjaśniona, do ustalenia w badaniu sekcyjnym”.

Wyprostował się.

– Mówi pan, że wyciągnięto ją ze zbiornika na dachu?

– Tak. To zbiornik wyrównawczy na wodę użytkową. Kiedyś było takich pełno. Zapas pozwalał pokryć zwiększony pobór w godzinach szczytu – wyjaśnił komisarz.

– Kto ją znalazł?

– Hydraulik. Został wezwany, bo goście zaczęli się skarżyć na smród wody i problemy z ciśnieniem.

– No tak. – Ostrogski pokiwał głową. – Po takim czasie produkty rozkładu gnilnego mogły już trafić do instalacji.

– Jakie produkty? – zainteresowała się Biała.

– Różne. Siarkowodór, kadaweryna, putrescyna.

– Chcesz mi powiedzieć, że goście kąpali się w soku z trupa?

– Jeśli koniecznie chcesz to tak ująć.

– To chyba najbardziej obrzydliwa rzecz, o jakiej słyszałam. – Skrzywiła się. – Czy wiemy już, kim była ta kobieta?

– Poprosiłem właścicielkę hotelu i personel o pomoc przy identyfikacji – odparł Wojdak. – Ale nie wiem, czy cokolwiek z tego będzie.

– Dlaczego?

– Lepiej, jeśli sama pani zobaczy.

Zaprowadził ją do pomieszczenia wyglądającego jak pralnia. Cuchnęło wymiotami. Na składanych krze-

słach siedziały trzy osoby: kobieta i dwóch mężczyzn. Kobieta trzymała twarz w dłoniach i nawet nie uniosła głowy, gdy weszli. Jeden z mężczyzn, barczysty blondyn, wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego wiadro krwi – bladość jego skóry niemal jarzyła się w półmroku.

– Jak się pani czuje? – zapytał Wojdak. – Da pani radę zidentyfikować tę kobietę?

– Nie ma takiej opcji – odpowiedziała. – Nie ma, kurwa, takiej opcji. Ja na ten strych więcej już nie wejdę. Sprzedam ten hotel. I tak miałam to zrobić dawno temu.

– Proszę się wziąć w garść – warknęła Biała. – Na terenie należącym do pani znaleziono zwłoki. Nie wiemy, kim była ofiara. Musimy to ustalić. Jak najszybciej.

– Ja tam nie pójde – powtórzyła kobieta. – Niech oni idą.

Blondyn zbladł jeszcze bardziej.

– Pan – powiedziała Dagmara, wskazując wysokiego, kościstego chłopaka. – Pracuje pan w recepcji, tak?

– Tak – potwierdził szczypior. W przeciwieństwie do pozostałej dwójki nie wyglądał na szczególnie poruszonego.

– Idzie pan z nami – rozkazała. – Już.

Chłopak posłusznie wstał i ruszył za nimi.

Gdy pochylił się nad ciałem, na jego twarzy pojawił się wyraz ciekawości. I nic ponadto.

Co za psychol, pomyślała Dagmara. Trzeba będzie dokładnie go prześwietlić.

– I jak? – spytała. – Widział już pan kiedyś tę kobietę?

– Sam nie wiem...

W to akurat była skłonna uwierzyć. Twarz ofiary była opuchnięta, jakby ktoś nadmuchał ją od środka. Rysy zatarły się niemal całkowicie – zamiast nosa, policzków i podbródka została zdeformowana, sinożółta masa.

– Chyba widziałem – powiedział niespodziewanie.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Tydzień temu mieliśmy tu konferencję. Wydaje mi się, że to jedna z uczestniczek.

– Tydzień? – Biała spojrzała pytająco na Ostrońskiego.

– To by się zgadzało – przytaknął.

– To znaczy, jeśli to ona – zastrzegł recepcjonista. – Nie mam stuprocentowej pewności.

– Ma pan jej nazwisko?

– Oczywiście. Zawsze sprawdzamy tożsamość gości. Takie jest prawo.

Zeszli razem do recepcji. Za ladą stała dziewczyna z czerwonymi od płaczu oczami. Kilka osób właśnie opuszczało hotel – wieści rozeszły się błyskawicznie.

Recepcjonista zalogował się do drugiego komputera. Po chwili zgrzytnęła drukarka.

– To jej dane – powiedział, wręczając Dagmarze kartkę.

– Helena Rumin – przeczytała. – Mówił pan, że brała udział w konferencji?

– Tak.

- Co to była za konferencja?
- Coś na temat bezpieczeństwa danych. Nie pamiętam dokładnie, ale mogę sprawdzić. Nieduża impreza, może dwudziestu kilku uczestników.
- Proszę sprawdzić. Będziemy potrzebowali nazwy konferencji, danych organizatora i listy uczestników. Czy Rumin się wymeldowała?
- Chyba tak.
- Chyba?
- W systemie jest wymeldowana. Rachunek został zamknięty, a jej bagaże zniknęły. Nie widziałem jednak, jak wychodziła. Nie było mnie wtedy w pracy.
- A kto był?
- Dariusz Bajak.
- To ten blady z pralni?
- Chudzielec skinął głową.
- Białą odnotowała to w pamięci. Jego też trzeba będzie przeświecić. Żaden z recepcjonistów nie wzbudzał jej sympatii.
- Co sprawiło, że zapamiętał pan tę kobietę?
- Nie rozumiem.
- Jej twarz wygląda, jak wygląda. A mimo to udało się panu ją zidentyfikować. Dlaczego?
- Przez włosy.
- Włosy?
- Zwróciłem uwagę na ich kolor. Były piękne. Rude.

Dokładnie takie jak u pani. I jak u tej martwej kobiety na górze.

Dagmara zacisnęła palce na kartce papieru.

– Niech się pan nigdzie nie rusza. Będziemy mieć do pana jeszcze parę pytań.

Wjechała windą na ostatnie piętro, potem ruszyła schodami na strych.

– Jarek, zrobisz jutro sekcję?

– Mogę zrobić – zgodził się Ostrogski. – Dziesiąta wam pasuje?

Biały i Wojdak potwierdzili.

– Być może mamy nazwisko – powiedziała Dagmara, wręczając komisarzowi wydruk. – Albo i nie. Szczypior skojarzył ją wyłącznie po włosach. Dlatego niech pana ludzie wykażą się dyplomacją, kontaktując się z tą osobą albo z jej rodziną.

– Moi ludzie zawsze wykazują się dyplomacją.

– Jasne – prychnęła. – Podobno wasze szkolenia z empatii prowadzi komornik sądowy.

Odwróciła się i ruszyła w stronę schodów.

– Ja też się zbieram – rzucił Ostrogski, zdejmując rękawiczki.

Pożegnał się z Wojdakiem i resztą ekipy, a następnie wyszedł z hotelu.

Dzień był chłodny, ale słoneczny. Od strony piekarni ciągnął zapach świeżego chleba, zmieszany z pierw-

szym tej jesieni dymem z kominów. Niskie światło przesunęło się po fasadach kamienic, wydobywając z nich odcienie moreli, błękitu i przykurzonej bieli, a ratusz rzucał cień na bruk, po którym tu i ówdzie sunęli przechodnie z torbami pełnymi zakupów. Nawet oni zwalniali krok, jakby nie chcieli zakłócać tego pocztówkowego spokoju.

Ostrogski, dla znajomych Ostroga, mieszkał tu od kilku miesięcy. Nie planował tego. Jarosław miał być tylko przystankiem w drodze w Bieszczady: kilka godzin na obiad i krótkie zwiedzanie, a na koniec jedno zdjęcie przy tablicy z nazwą miasta, która była jednocześnie jego imieniem. Los zdecydował inaczej. I jak dotąd Ostrogski tego nie żałował. Pracował jako patolog, a poza prosektorium jeździł również do nagłych zgonów. Miał tu kilku kolegów, spokój, którego od dawna potrzebował, oraz piękny, choć tylko wynajęty, dom pośród kasztanowców.

O tym, że zło potrafi zakraść się nawet do takich miejsc, przypominały jedynie zwłoki kobiety znalezione na hotelowym dachu.

ROZDZIAŁ 2

Ostrogski otworzył oczy. Obudził go jakiś stuk.

– Sorki. Upuściłam komórkę – mruknęła Aneta, podnosząc telefon z podłogi. Była już ubrana, gotowa do wyjścia.

– Która godzina?

– Siódma trzydzieści.

– Już? – westchnął i przetarł twarz. – I tak muszę zaraz wstać. O dziesiątej mam sekcję. A ty czemu nie śpisz?

– Przed południem robię wywiad. Muszę się przygotować.

Aneta Budka była lokalną dziennikarką. Sypiali ze sobą od kilku tygodni.

– Zjesz dziś ze mną obiad? – Usiadł na łóżku.

– Znowu? – Skrzywiła się. – Coś za często się ostatnio spotykamy. Nie chcę, żebyś żył w błędnym przekonaniu, że łączy nas coś poza seksem.

– Bez obaw. Nie łączy nas nic innego.

Mówił szczerze. Nie była w jego typie.

– No to nie będzie wspólnego obiadku – rzuciła ze złością.

Nie rozumiał, o co jej chodzi. Bez przerwy powtarzała, że to układ bez zobowiązań – żadnych deklaracji, żadnych planów. A kiedy się z tym zgadzał, wpadała w gniew.

– Kto to jest Ada? – spytała na odchodnym.

– Jaka Ada? – zdziwił się.

– Mówiłeś przez sen. Wołałeś jakąś Adę.

Ada Mazur była błędem. Zakochał się w niej, choć od początku wiedział, że będzie tego żałował. A ona wybrała Afrykę i medycynę humanitarną. Zostawiła go i wyjechała pracować w małym szpitalu gdzieś na końcu świata.

– Nie znam żadnej Ady. Pewnie śniły mi się jakieś głupoty.

– Okej – odparła nieprzekonana, wzruszając ramionami.

– To kiedy znów się zobaczymy?

– Nie wiem. Może nigdy – odpowiedziała i wyszła, trzaskając drzwiami.

* * *

Ostrogski dotarł do prosektorium chwilę po dziewiątej. Ferenc, technik sekcyny, siedział już w socjalnym, popijał kawę i podjadał biszkopty.

– Nie spodziewałem się pana tak wcześnie – powiedział Ostroga, zrzucając torbę na krzesło.

– Byłem o ósmej. Wszystko gotowe.

Lucjan Ferenc był pasjonatem swojej pracy. Lubił ją do tego stopnia, że niejednokrotnie odmawiał lepiej płatnych zleceń w zakładach pogrzebowych, gdzie dorabiał jako tanatopraktor.

– Biały i tak zjawi się dopiero po dziesiątej. Zawsze się spóźnia.

– Jak to prokurator – odparł Ferenc, maczając biszkopt w kawie. – Oni tak już mają. Gdyby przyszła na czas, musiałyby chyba oddać legitymację służbową.

Tym razem jednak Dagmara ich zaskoczyła – zadzwoniła do drzwi zakładu o dziewiątej pięćdziesiąt. Towarzyszył jej komisarz Wojdak.

– Spotkaliśmy się przypadkiem na parkingu – wyjaśniła, choć nikt o to nie pytał. – Poczęstujecie mnie kawą? Nasz ekspres znowu padł.

To był żart, który powtarzała przy każdej wizycie. W prokuraturze nie było żadnego ekspresu. Tak samo jak klimatyzacji czy sprawnego ogrzewania. Gdyby mogła, najchętniej przeniosłaby się ze swoim biurkiem tutaj.

Po chwili cała czwórka siedziała przy stole, popijając kawę z ciśnieniowego ekspresu i maczając w niej jarosławskie biszkopty. Zwyczaj zapoczątkował Ferenc – jadł je w najdziwniejszych momentach, nadając nawet najbardziej ponurym okolicznościom charakter rodzinnego podwieczorku. Ostrogski któregoś dnia poszedł w jego ślady. I tak już zostało.

Jarek przyglądał się ukradkiem Dagmarze. Kilka miesięcy wcześniej, w akcie samoobrony, zastrzeliła narzeczonego – człowieka, który okazał się jednym z lokalnych baronów narkotykowych. Po wszystkim nie wzięła długiego zwolnienia, nie płakała i nie chciała o tym rozmawiać. Szybko wróciła do pracy, a na pytania o Roberta reagowała milczeniem albo gniewem. Według Dagmary życie po prostu toczyło się dalej. Ostrogski nie był pewien, czy naprawdę się z tym uporała. Ale nie wiedział też, jak mógłby jej pomóc. Więc tylko patrzył, jak dzień po dniu coraz sprawniej udaje, że nic się nie stało.

– Idę przygotować ciało. Możemy zaczynać za dziesięć minut – powiedział Ferenc, wstając i znikając za drzwiami prosektorium.

* * *

Zapach środków dezynfekcyjnych, zmieszany ze słodkawą wonią rozkładu, uderzył Wojdaka już od progu. Wciągnął powietrze nosem i natychmiast tego pożałował.

– Masz, będzie ci łatwiej – powiedziała Dagmara i podała mu tygrysią maść, jakby czytała mu w myślach.

Zwróciła się do niego na „ty”. Zapomniała się? Czy zrobiła to celowo? Miał nadzieję, że to drugie. Odkąd ją zobaczył, liczył na coś więcej niż tylko współpracę służbową.

Rozsmarował maść pod nosem i założył maskę chirurgiczną.

Ciało kobiety leżało na stalowym stole. Ferenc stał już w gotowości – w rękawiczkach, z narzędziami ułożonymi jak do operacji. Ostroga notował coś w kajecie, od czasu do czasu zerkając na monitor, na którym wyświetlały się zdjęcia wykonane podczas oględzin.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała Biała. – Możemy zaczynać.

– No to do roboty. – Ostrogski odłożył długopis i odchrząknął. – Ciało kobiety w wieku około trzydziestu lat. Stan średniozaawansowanego rozkładu. Silne wzdęcie gnilne. Naskórek obu dłoni całkowicie zsunięty, obecne rękawiczki naskórkowe. Twarz zniekształcona, obrzęk tkanek znaczny. Brak widocznych urazów zewnętrznych, poza rozległymi przebarwieniami w obrębie szyi, głównie po stronie prawej. Ich charakter do potwierdzenia w badaniu tkanek miękkich.

Spojrzał znad maski w stronę Wojdaka.

– Widział pan kiedyś sekcję zwłok, komisarzu?

– Tak – odparł policjant. Starał się brzmieć pewnie, ale wzrok zdradzał lekką panikę.

– Jeśli zacznie się panu robić słabo, proszę uprzedzić. Pan Lucjan ma odruch łapania, ale nie zawsze zdąży. – Ostroga uśmiechnął się krzywo. – A teraz zaczyna się najlepsza część.

Otworzył jamę klatki piersiowej. Odór rozkładu natychmiast przybrał na sile.

Wojdak wstrzymał oddech. Nie chciał wyjść na mięczaka w obecności Biały, która zносиła sekcję jak stary wyga. Stała spokojnie, z rękami założonymi na piersi, jakby to, co działo się na stole, nie robiło na niej najmniejszego wrażenia.

– W obrębie jam opłucnowych brak płynu – kontynuował Ostrogski. – Płuca blade. Brak cech obrzęku. Obecne wybroczyny podopłucnowe. Tchawica sucha. Oskrzela drożne, bez śladów aspiratu. Nie stwierdzam piany w drogach oddechowych.

– Czyli nie utonęła? – spytała Biały.

– Na tym etapie obraz sekcyjny nie przemawia za utonięciem.

Zamilkł na moment i wraz z Ferencem zabrał się do dalszej pracy. Przeszli przez jamę brzuszną – wątroba i śledziona niepowiększone. Żołądek niemal pusty, płynne treści obecne jedynie w obrębie jelita cienkiego.

Ferenc preparował narządy z wprawą, którą nabiera się po latach – operował pęsetą i skalpelem z zegarmi-strzowską precyzją. Ostrogski notował najważniejsze obserwacje.

– Przechodzę do badania szyi – odezwał się w końcu.

– Wylewy krwawe w tkankach miękkich okolicy przyusznicej i podżuchwowej oraz w obrębie mięśni krta-

niowych. Widoczne złamanie prawego rogu większego kości gnykowej. – Zamilkł na chwilę. – Całość obrazu przemawia za mechanicznym uciskiem szyi.

– Czyli uduszenie? – spytał Wojdak, starając się nie odwracać wzroku.

– Tak. Doszło do mechanicznego ucisku szyi. Charakter obrażeń nie pozwala jednoznacznie określić sposobu ucisku. Mogła to być ręka, przedramię albo szeroka, miękka pętla.

– Jest pan pewien, że to nie utonięcie?

– Płuca nie są rozdęte ani obrzękłe. W drogach oddechowych nie ma pianistej treści, materiału obcego ani innych cech aspiracji płynu. Nie stwierdzam zespołu zmian przemawiających za utonięciem.

– Czyli co, wrzucili ją do zbiornika, żeby upozorować utonięcie?

– Może. A może po prostu chcieli pozbyć się ciała, jeśli na przykład uznali, że zbiornik nie jest używany. Interpretację zostawiam panu, komisarzu.

– Kiedy zmarła? – spytała Biała.

– Szacuję, że od pięciu do dziesięciu dni przed ujawnieniem zwłok, ale przy zwłokach przebywających w wodzie margines błędu jest znaczny. Niska temperatura spowolniła rozkład i autolizę, mimo to zmiany pośmiertne są już na tyle zaawansowane, że precyzyjna ocena nie jest możliwa.

– No to mamy morderstwo – powiedziała Dagmara.
– Macie morderstwo – potwierdził Ostrogski. Odsunął się od stołu i zaczął zdejmować rękawiczki. – Jeszcze jakieś pytania?

Powiódł wzrokiem po ich twarzach. Milczeli.

– W porządku. Kończymy, panie Lucjanie. Podsumowując: wstępnie przyjmuję, że zgon nastąpił w wyniku uduszenia. Charakter obrażeń nie pozwala ustalić, w jaki dokładnie sposób uciskano szyję. Nie stwierdzam uchwytnych obrażeń obronnych. Materiał spod paznokci zabezpieczono do badań. Ciało najprawdopodobniej wrzucono do zbiornika *post mortem*. Dalsze wnioski po toksykologii i histopatologii – dodał, zdejmując fartuch i wrzucając go do kosza.

Biały i Wojdak wyszli razem na parking.

– Kobieta była martwa przed umieszczeniem w wozie – powiedziała Dagmara w zamyśleniu. – Niech pan porządnie przycisnie tego chudzielca z recepcji – rzuciła nagle. – Mam przeczucie, że z nim jest coś nie tak.

Znowu byli na „pan” i „pani”. Wojdak poczuł zawód.

– Jasne. Podwieźć gdzieś panią?

Spojrzała krytycznie na jego czarną mazdę.

– Przyjechałam własnym samochodem. Ale dziękuję.

– Może spotkamy się na kawie i omówimy postępy w śledztwie?

– W tym celu spotkamy się w moim biurze. Jutro o trzynastej. Chcę wiedzieć, co powiedział chudzielec.

Wsiadła do auta i poczekała, aż Wojdak wyjedzie z parkingu. Był przystojny, miał dużo uroku, ale też jedną zasadniczą wadę – był policjantem. Tak jak Robert.

Czasem tamten dzień rozpadał się w jej pamięci na urwane obrazy, innym razem wracał ze wszystkimi szczegółami. Huk wystrzału. Twarz Roberta, nie ta z chwili śmierci, lecz uśmiechnięta i pełna czułości. Był jej narzeczoną, człowiekiem, któremu ufała. Wiedziała, że strzeliła, bo nie miała wyboru, a jednak nie potrafiła uwolnić się od myśli, że nacisnęła spust także dlatego, że ją oszukał i zdradził. Że w tamtej chwili była to nie tylko obrona, ale także zemsta. A tego nie umiała sobie wybaczyć.

Zadzwonił telefon.

– Już się pan za mną stęsknił, komisarzu?

– To też – odparł Wojdak. – Ale dzwonię, bo chyba potwierdziliśmy, że Ulewicz z recepcji miał rację. Wszystko wskazuje na Helenę Rumin.

– Chyba?

– Rumin brała udział w konferencji i nie wróciła do pracy. Jej szef nie może się do niej dodzwonić. Mieszkanie zamknięte, nikt nie otwiera.

– A rodzina?

– Nie udało nam się ustalić żadnych bliskich krewnych. Rodzice nie żyją, nie miała rodzeństwa, męża ani dzieci.

- Gdzie pracowała?
 - W firmie z Rzeszowa, zajmującej się bezpieczeństwem danych.
 - Czy ta konferencja przypadkiem też nie dotyczyła bezpieczeństwa danych?
 - Tak.
 - Może to jakiś trop. Niech pan sprawdzi, czym dokładnie się zajmowała.
 - Już to robimy. Jej szef przyjedzie jutro do Jarosławia, żeby pomóc w identyfikacji. Chce pani z nim porozmawiać?
 - Koniecznie.
- Zaparkowała przed budynkiem prokuratury. Zanim wysiadła, zapisała w telefonie: „Rumin. Bezpieczeństwo danych. Sprawdzić tematy i prelegentów”.

ROZDZIAŁ 3

Ewa Dworecka siedziała za biurkiem i ze zdumieniem wpatrywała się w Gośkę Szalaj.

– Co?

– Mam kleszcza w cipie – powtórzyła Gośka. – Wiem, że to nie do ciebie, ale wstydzę się iść gdzie indziej.

Ewa sądziła, że po tym, jak wystawiła zwolnienie kobiecie, która nie mogła pójść do pracy, bo postawiła sobie bańki na czole, nic już dzisiaj jej nie zaskoczy.

– Jak to się stało?

– Pojechałam rowerem do lasu. Wiesz, jaką mam robotę – plecy mnie napieprzają, więc chciałam się poruszać. No i zachciało mi się siku... Wlazłam w jakieś krzaki... Głupia byłam. Teraz będę już sikać przy drodze. Niech się gapią, mam to gdzieś.

– Ten kleszcz nadal tam siedzi?

– Tak.

– Czemu go sobie nie wyjęłaś?

– Bo mnie obrzydza! Jak na niego patrzę, to mam odruch wymiotny. Nie jestem w stanie go dotknąć. A jednocześnie, jak sobie pomyślę, że on tam jest...

to... to... Ewa, błagam, wyjmij go, bo zaraz na Kościuszki trafię!

Na Kościuszki mieścił się słynny w całym województwie szpital psychiatryczny. I – od niedawna – prosektorium, w którym pracował Ostrogski. Ewa miała ochotę zapytać, do którego z tych dwóch miejsc Gośka zamierza się zgłosić, ale odpuściła.

– Idę po pęsetę do zabiegowego. A ty, Marmuzela, rozbierz się w tym czasie i połóż na kozetce.

Gośka była jarosławską ikoną fryzjerstwa. W podstawówce przez kilka lat siedziała z Ewą w jednej ławce. Do dziś spotykały się na wino i plotki – Szałaj była ich królową. Dzięki klientkom wiedziała niemal wszystko o wszystkich. Ksywę Marmuzela nadał jej w dzieciństwie starszy brat. Kiedyś Gośka jej nienawidziła, a później tak nazwała swój salon.

Kleszcz faktycznie tkwił w fałdzie wargi sromowej, wbity tak głęboko, że trudno było go uchwycić pęsetą.

– Au – syknęła Gośka.

– Cicho, Marmuzela – odparła Dworecka. – Jęczenie nic ci nie da. Nie ma takiego bólu pacjenta, którego lekarz by nie wytrzymał.

Kleszcz został w końcu wyjęty, a miejsce po nim zdezynfekowane.

– Musisz się obserwować – dodała Ewa. – Gdyby pojawił się rumień, gorączka, cokolwiek – od razu dzwoń.

– To po kleszczu może coś się stać? – zmartwiła się Szałaj. – Nawet nie mów. Jeszcze tego brakowało. Jakbym mało kłopotów miała. Z tego wszystkiego zaraz chyba popełnię sudoku.

– Ja kiedyś popełniłam karaoke – odparła Dworecka.
– Ofiar nie zliczę.

Lista pacjentów była dziś wyjątkowo długa. Kolejnym był trzydziestolatek z drżeniem prawej ręki.

– To musi panu bardzo przeszkadzać w pracy? – spytała Dworecka, uważnie go badając.

– W pracy nie – zapewnił mężczyzna. – Najgorzej jest na rybach.

Jako ostatnia przyszła kobieta z listą dolegliwości zapisaną drobnym drukiem na kartce A4.

– To na pewno choroba zawodowa – oznajmiła, gdy skończyła ją czytać. – Niech mnie pani wyśle na turniej rehabilitacyjny.

– Turnus – poprawiła ją Ewa. – A gdzie pani pracuje?

– Nigdzie. Od ośmiu lat jestem bezrobotna.

Kiedy Dworecka wyszła z poradni, była kompletnie wyczerpana. Poniedziałki miały tu własny rytm: ledwie zdążyła zamknąć drzwi za jednym pacjentem, a już do gabinetu wchodził następny – z własną historią, własnym lękiem i nierzadko również gotową diagnozą.

Po pracy miała się spotkać z Mariuszem Kowalikiem, który pomagał jej w remoncie domu po pożar-

rze. Od niedawna byli oficjalnie razem, nie kryjąc się już przed znajomymi ani rodziną. Dla Ewy nie był to związek z miłości, lecz raczej wynik chłodnej kalkulacji matki, która w pierwszej kolejności myślała o dobru syna.

Mariusz stał się dla Pawła kimś w rodzaju ojca – chłopiec uwielbiał go, szanował i we wszystkim starał się go naśladować. Kowalik był przyzwoitym, pogodnym facetem, którego trudno było nie lubić. Dworecka miała nadzieję, że głębsze uczucia przyjdą z czasem. Niekoniecznie od razu miłość, ale choćby cień tęsknoty, kiedy nie będzie go w pobliżu.

Wjechała do Przeworska. Przy Krakowskiej minęła kwietne rzeźby słoni, które od kilkadziesiąt lat były lokalną atrakcją nie tylko dla dzieci. Większość okolicznych mieszkańców miała zdjęcia zrobione na ich tle – Dworecka nie była wyjątkiem. Jej fotografia znaczyła jednak więcej niż tylko wspomnienie letniego popołudnia. Na zdjęciu trzymała ją na rękach matka, która zmarła kilka lat później.

Za każdym razem, gdy przejeżdżała obok słoni, myślała o niej – o tym, jak bardzo wciąż za nią tęskniła, choć twarz matki już dawno zatarła się w jej pamięci.

Zaparkowała przed lokalnym marketem budowlanym. Kilka metrów dalej stał samochód Mariusza. Jego samego znalazła w dziale łazienek. Zamawiał coś z listy.